

ROZDZIAŁ III

Lampion szedł i śpiewał, ale nie dotarł daleko. W następnym miasteczku, zaraz po tym jak do niego wszedł, podeszło do niego dwóch mężczyzn wzywając go, by im towarzyszył. Bowiem gdyby nie chciał im dobrowolnie towarzyszyć, to mieli zlecenie, pełnomocnictwo i nagrodę od jego ojca i policji, aby użyć siły. Dał się więc przywieźć dwie stacje koleją, potem znalazł się już znów w domu.

Teraz już nie śpiewał i nie bawił się. Pozwolono mu spać, a następnego poranka jego ojciec posadził go na krześle naprzeciwko siebie i wygłosił do niego małe przemówienie;

– Nie wiem, co ci dolega. Mam nadzieje i życzę sobie, żebyś i ty także tego nie wiedział. Jeśli jednak to wiesz, nie musisz mi tego powiedzieć, jeśli twoja tajemnica nie uwiera cię. W to, że ci coś dolega, w to niestety nie wątpię, nie mam jednak wcale zamiaru wykurować ciebie siłą i przymusem. Sadzę, że powinienes być sam i dojść do siebie, potem będziesz znów zdrowy. Proponuję ci więc, abyś znów pojechał do Monachium i dalej studiował. Jeśli jednak nie uznasz tego za właściwe, to możesz zarówno wyjechać, jak i pozostać tutaj. Co o tym sądzisz?

Lampion zadziwił się, jak dobrotliwy i przezorny był ten niewielki pan, który go spłodził. Opieszały i zmęczony podziękował za dyskretne zainteresowanie sobą i zgodził się w kilku słowach na powrót do Monachium. Wtedy ojciec powiedział, trochę z próżności i pozy, a Lampion z pewnością nie oczekiwał niczego innego jak tej decyzji. Lampion mógł korzystać z miesięcznych weksli w podobnej wysokości jak w poprzednim semestrze; gdyby potrzebował więcej, mógł liczyć w każdym momencie na otwartą kieszeń. No to, kiedy chciałby wyjechać?

Dzisiaj wieczorem. Walizki zostały zapakowane, postarano się o dokumenty i o bilet. Mama płakała przy pożegnaniu tak uporczywie i po ciachu, że ojciec nie pozwolił jej odprowadzić chłopca na dworzec. Skutkiem tego mała siostrzyczka była zupełnie zmieszana i robiła wielkie oczy.

Obładowani walizkami młody chłopiec i stary ojciec szli teraz wielkimi krokami na dworzec. Pociąg stał już w hali dworcowej, gdy wchodzili na peron. Zapadał zmrok.

Lampion był bardzo nieobecny. Wyglądął z okna przedziału: jakże niewielki i wąty był ten człowiek stojący na dole! On, Lampion miałby więc za dwadzieścia lat wyglądać tak samo? Nie był w stanie myśleć o niczym innym.

– Tylko napisz wkrótce po przyjeździe.

Potem pociąg odjechał. Lampion drżał z zimna. Wtulił się jak muszla w kącie. Przykrył się swoimi dwoma płaszczami. Położył sobie torebkę na kolana. Ciągle jeszcze miał dreszcze. Powoli uspił go regularny rytm kół. Był jedynym pasażerem w przedziale. Wstrząs, pociąg stanął.

– Poznań – krzyczano na zewnątrz.

Dlaczego tak krzyczą, pomyślał Lampion, jeszcze w północy. Ach, to pierwsza stacja. Poznań? Było to najokropniejsze miasto na ziemi. Należało je spalić, przemknęło mu przez głowę. Dalej. Dalej.

Znów zasnął. Spał ciężko bez snów. Znowu szarpnięcie, znów stacja, granica. Lampion się obudził i natychmiast zasnął.

Halo, proszę pana, proszę wstać do kontroli paszportowej. Mechanicznie, wszystko samo się załatwiło, przybito stemple, oklejono walizki, niczego nie szukano i niczego nie znaleziono.

Gdy chciał znów wsiadać, zagadnął go jakiś człowiek o ogień. Był to niemiecki maszynista parowozu. Wywiązała się rozmowa. Mieli odjechać za dziesięć minut. Lampion dał mu papierosa. Chciał się go pozbyć. Z pełną wewnętrzną obojętnością Lampion dosiadł bestii, która miała wieźć jego, jego i tysiąc innych. Każdego dnia tysiąc innych, jak by to nie było. Pozostał w kabinie, gdy potem zaczęła się podróż. A tłoki załomotały w kołach, dudniło, gdy palacze nakładali węgiel, parskająca sprężona para krzyczała i gwizdała w rurach, i męczyła się sapiąc i pchając maszynę w noc. I ciągle wlatywały snopy iskier, płonące kawałki węgla jak z wulkanu.

I ciągle Lampion myślał: po co ten teatr żywiołów, po co to wszystko? Gdyby nie było wszystkich tych huczących rzeczy, w życiu nie byłoby nic innego. Tylko denerwowano się tym hałasem i nic nie istniało, co odpowiadałoby tej krzątaninie maszyn. Na następnej stacji Lampion powrócił do swojego przedziału.

Jechali w kierunku zachodnim. Noc zrobiła się szara. Po łąkach snuła się wieczorna mgiełka. Kominy fabryczne wczepiały się w horyzont, dalej, dalej. Rzeka była zupełnie czarna, wody, ciągle nowe wody

gnuśnie się toczyły, bez fal pod dudniącym mostem, Dalej, dalej. Lasy, sosny, brzozy, wrażliwe na uderzenia wiatru, dalej, dalej. Miserne domy przycupnięte przy nasypie kolejowym, dalej, dalej. Potem jednak szyny rozeszły się i rozgałęziły się od nowa, nadleciał Berlin, Berlin jak sto miast. Hamulce wsunęły się we wrzeszczące żelazo, czarna tytaniczna hala, pociąg zatrzymał się i stał jak zwierzę, raczej gotowy ślizgać się do tyłu niż dać się porwać do dalszego biegu.

Potem przyszedł na pół dnia Berlin, zmęczony szal ruchu ulicznego i ludzi. Jak kukielki na drutach wydawali mu się ludzie, jak wielkie, ożywione przez widma, kamienne szare miasto grobów – Berlin.

Potem siedział znów w rogu swojego przedziału kolejowego. Góry wyłaniały się z mgieł, a dudniące tunele tłumiły światło, a doliny zakręcały się i ryły w górskiej skale. A szczyty piętrzyły się niżej, a Lampion patrzył i patrzył, aż zaczęło się środkowe pogórze i przejechano połowę drogi, tę lżejszą. I wychylił się daleko z okna i ujrzał rosnące góry i zobaczył je błędąc tak jakby musiał przekopać się przez nie swoimi własnymi, łamiącymi się paznokciami i usłyszał, jak pasażerowie i subiekci rozmawiali o klęsce braku nasion, a żydowscy spekulanci plotkowali i pachniało zwietrzałym, martwym wyziewem wyżarzonych fajek; patrzył i patrzył. A rytm wyjazdu tkwił tak bardzo w jego kończynach, że niemal nie mógł myśleć przed spotkaniem nieznanego świata, a każdy sens w rozmyślaniach był rozpaczą, co na mnie tam czeka?

W Monachium znalazł swój stary pokój niezamieszkały, stara gospodyni zrobiła się jeszcze bardziej gadatliwa. Lampion znów immatrykulował się i żył mechanicznie z dnia na dzień. Bał się rozmyślać i był zbyt flegmatyczny, aby stworzyć sobie okazje do ruchu. Wałęsał się przez cały dzień po ulicach, a wieczorami czytał powieści. Jednak w końcu zebrał siły. Już naprawdę nie mógł wytrzymać w tej cichej, tchórzliwej ucieczce przed sobą samym. Tego, co się stało, nie można było zmienić. Jeśli można to było odpokutować śmiercią, to jednak okazało się, że nie był w stanie zebrać niezbędnej do tego odwagi. Jakby się od tego wykręcał przed samym sobą, nie miało to nic wspólnego z umieraniem, trzeba było to wyznaczyć otwarcie i uczciwie. Trzeba więc, trzeba było żyć dalej, ale trzeba było żyć dalej z wolą i świadomością, trzeba było zacząć nowe życie.

Chodziło więc o to, aby dotrzeć do tej woli i wiedzy, najpierw dlatego, że podobnie jak w przypadku kampanii wojskowej trzeba było zlustrować materiał bojowy, a ze swoich duchowych pasywów i aktywów utworzyć bilans, potem trzeba było zestawzić ze sobą i przejrzeć aktywa i można już było nimi dysponować.

Fundamentem nowego życia nie mogła być w żadnym razie kobieta. Ta jedna, której szukał, była dla niego stracona na zawsze. Szukanie nowej było tyleż ryzykowne, co zawstydzające, było bez charakteru. Oprócz tego na pewno nie miałby szczęścia, a gdyby je nawet miał, odrzuciłby je i podeptał nogami. W swoich oczach nie był wart żadnej kobiety, i należało sobie to wybić z głowy. Trzeba było mieć jasną głowę i czyste serce na nowy początek, w przeciwnym wypadku nie miało to sensu.

Jednak gdy Lampion szukał w dalszym ciągu aktywów, zrobił się tylko porywczy i zły na swoje wnętrze, w spokojnym rozważaniu wymusił na sobie wyznanie, że nie mieściło się w nim nic pozytywnego, dla czego opłacałoby się świadome życie. Trzeba było więc z niczego stworzyć świat, tak jak uczynił to dobry Bóg. Ale o ile bardzo mu pochlebiało, że mógłby zostać małym, dobrym bogiem, o tyle odpychał się jednak od tego rozumiejąc próżność takiego porównania. Nie było nonsensem, że z niczego nie mogło nic powstać. Dlaczego jednak nie zacząć i nie spróbować, nie uczynić brzemienным i nie zapłodnić samym sobą, aż pękną i urodzą się nowe aktywa? Była to jedyna droga.

Największym debetem i martwym punktem w życiu Lampiona była afera z Manilą i polskim oficerem. Czy wstrętny charakter tej afery – tkwił w nim, w Lampionie? Nie, na pewno nie, jeśli oglądało się ją z punktu widzenia całego życia, jego całokształtu i koniecznie, jeśli się traktowało Lampiona za jedyną ofiarę, jako ofiarę siebie samego. Tego jednak nie można było zrobić, nie wolno było tego zrobić w żadnym przypadku. Chodziło zawsze i w ogóle o ogólną całość, a więc sprawa miała się tak, że zdarzały się tysiące podobnych lub cięższych upokorzeń i codziennie zdarzało się tak, że w tym kraju osobami upokarzonymi byli Żydzi a dręczycielami zawsze Polacy. Chodziło o potajemną wojnę Polaków z Żydami. To, że w swoim przypadku Lampion zachował się osobiście w sposób tchórzliwy, było sprawą prywatną, która nie obchodziła żadnego innego człowieka oprócz niego, był to prywatny grzech, który dostatecznie

odpokutował w ten sposób, że stracił wskutek niego Manilę. A więc sprawa poboczna, która nie odgrywała żadnej roli w wielkiej kwestii, która została odpokutowana, pokonana, przewyciężona i załatwiona i taką powinna być zostać, precz z nią!

Wielki martwy punkt w życiu Lampiona oznaczał zatem w odniesieniu do wszystkiego, co jeszcze nastąpi: jesteś Żydem, to twoje nieszczęście, jesteś Żydem, to twój los. Odrzucić siebie, halo, to nie ma sensu, po co się nad tym zastanawiasz, tchórz, nie jest to możliwe, tysiące litrów wód chrzcielnych nie domyją krzywych nosów twojego oblicza i twojej duszy, jesteś Żydem i nim zostaniesz, a jeśli nie masz odwagi, aby przyznać się do swojego nosa i do swoich rodziców i braci na całym świecie, wtedy nie zaczynaj nowego życia, lecz powieś, zastrzel, utop się. Jednak na to się nie odważysz i także to nie będzie właściwą rzeczą, pozostań przy życiu, Żydzie, bądź Żydem, równym chłopem, bądź rdzennym Żydem, bądź nim w całości, równym żydowskim gościem!

Polacy prowadzą potajemną wojnę z Żydami? No, to Polacy nigdy nie przestaną prowadzić wojny, gdyż oni także boją się naszych czarnych mądrych głów! Jak by to jednak było, gdyby z potajemnej wojny zrobić otwartą i uczciwą wojnę, w końcu przyjąć wypowiedzenie wojny i odpowiedzieć na nią, halo, tak, tutaj stoimy i walczymy i bronimy się, bijemy się aż do momentu, gdy ostatni wojownik zdechnie, a kto pozostanie przy życiu, ma oto prawo do życia!

Nie, to była szaleńcza idea, to było zupełnie niemożliwe, zamknąć to by go w szpitalu dla obłąkanych, jeśli by to głośno powiedział, na miłość boską, niewielu by za nim podążyło, gdyby zaiste doszło do takiej walki i gdyby potraktowali go poważnie, nie, to było niemożliwe, głupio to pomyślałeś Lampionie. A gdyby wszyscy poszli za tobą, wszyscy polscy Żydzi, to jeszcze tak czy owak byłoby was trzech ludzi na stu. Niczego nie da się zrobić przeciw statystyce.

Nie, w takiej wojnie, która oprócz tego, że nie zdałaby się na nic, ponieważ wojna zawsze jest nieszczęściem, dla wszystkich jest nieszczęściem, takiej wojny nie można było przerwać, a w takim pokoju, który był potajemną wojną, także nie można było dłużej trwać. Pozostał więc tylko jeden sposób - emigracja. Niedużo więcej Lampion wiedział o tym dążeniu, które nazywane było syjonizmem, niż właśnie to: Żydzi mieli wyemigrować i to do Palestyny. Była to dobra propozycja,

ponieważ w kolonii czarnych włosów i krzywych nosów nie byłoby na pewno żadnych pogromów i polskich oficerów, lecz samemu byłoby się zawsze panem i oficerem. To, że celem emigracji koniecznie musiała być Palestyna, wprawdzie tego Lampion był w stanie do końca zrozumieć, gdyż nie miał zamiaru modlenia się do Boga, w którego nie wierzył, koniecznie tam, gdzie to czyniło za Króla Ćwieczka kilku przodków, a on nie pamiętał już tych na w pół azjatyckich prekursorów sprzed dwóch tysięcy lat - mógł więc to być ten lub tamten kraj, ten był mało zaludniony i posiadał sporo możliwości. Należałoby przestudiować prognozy emigracyjne i następnie oddać się w całości i namiętnie w służbę tej sprawy.

Na pewno sprawa ta była podobnie heroiczna jak wojna, dobrowolnie i świadomie jedno pokolenie musiałoby się poświęcić, żeby ich dzieci mogły zebrać plony. Również Lampion był z góry gotowy na ofiarowanie się dla dobra przyszłych pokoleń. Jednak tutaj nie można było wyróżnić się podobnie jak na wojnie w krótkich epizodach na wysuniętym posterunku, przez śmierć bohaterską, w skrajnych niebezpieczeństwach i ryzykach, lecz niezbędne było ciche, uporczywe i żmudne bohaterstwo, nie męstwo w bezpośrednim ataku na cel, które ukochałby jako nagłe przejście z tchórzostwa, które okazał, w najbardziej szaleńcze przeciwieństwo, lecz praca, praca, praca.

Do takiej pracy Lampion się przygotował studiując teoretyczne podstawy przygotowywanej imigracji i migracji, statystyki i geografii, botanikę i ekonomię, kupował potrzebne książki i abonował syjonistyczne gazety. Czytał Biblię i dawne żydowskie historie, wczuwał się w nie głęboko, gwałtownie i bez oglądania.

Kim był, jeśli nie był Żydem, a jeśli był, to chciał przynajmniej być nim zupełnie! Kraj, z którego pochodził, nazywał się Polska, a więc Lampion nie mógł być Niemcem. Być Polakiem, przeciwko temu opierał się z całą siłą, niczego nie znienawidził bardziej, niż tego narodu. Musiał jednak należeć do jakiegoś narodu i jakąś małą ojczyznę należało posiadać. Był bez swojej prywatnej ojczyzny, w nieograniczony sposób bez ojczyzny, a więc musiał sobie stworzyć strony ojczyste. Palestyna byłaby jego ojczyzną, byłaby ojczyzną dla Żydów. Czy należało nie mieć ojczyzny? I czy jakiś kraj mógł w ogóle stać się ojczyzną? Czy ojczyzna nie musiała być czymś, co było zawsze od samego początku? I czy trzeba było w ogóle należeć do jakiegoś narodu? Być może były to przesady.

Na pewno istniał naród żydowski w Polsce, jednak on do niego nie należał, nie praktykował ani jego zwyczajów religijnych, ani nie mówił jego językiem. Tysiące wątpliwości zakłócały mu z kolei myśli o wyjeździe z Europy. Tysiąc faktów dochodziło z zewnątrz do tego, potęgując jeszcze wątpliwości.

Nie chciał, aby pojawiały się wątpliwości. Chciał usłyszeć innych ludzi, którzy w to, co mu się wydawało do zakwestionowania, fanatycznie wierzyli. Poszedł na zebranie stowarzyszenia syjonistycznego i wysłuchał uroczystej mowy wspomnieniowej o Theodorze Herzlu³. Te mowę mógł jednak równie dobrze samemu wygłosić, dlatego Lampion czekał, aż się skończyła, aby potem z osobistej rozmowy w cztery oczy dowiadywać się coraz więcej interesujących go rzeczy. Jednak to nie było możliwe, gdyż po przemówieniu nastąpiło spotkanie towarzyskie, podczas którego nie wolno było rozmawiać na tematy polityczne, o tym powiedział ktoś w rodzaju konferansjera.

Była również potańcówka i Lampion tańczył z ładną, czarną, Żydówką pełnej krwi. Przycisnęła się ciasno do niego, przepraszając wielokrotnie, że nie za bardzo umie tańczyć. Jej ojciec rzadko pozwalał jej na wyjścia, był nadzwyczaj pobożnym, wschodnim Żydem starego autoramentu.

Lampion uznał, że jej głos miał zachwycający dźwięk. Poza tym mówiła w dialekcie, który był osobliwy i którego słuchanie było komiczne, była to mieszanka jidysz⁴ i dialektu monachijskiego. Przyciskała się w tańcu do niego i zauważył, że się jej spodobał. Odczuwał pewną próżność przy tym uczuciu, ponieważ wewnątrz zupełnie nie był zainteresowany. Gdy sądził, że będzie musiał odprowadzić ją do domu, zjawił się we właściwym czasie jej brat. Powiedziała mu do ucha swój adres i pożegnała się.

Wtedy wyszedł także Lampion. Przez dwie godziny jego myśli były przerwane, *ergo* musiał później pójść spać i nadrobić konsekwencje swoich wątpliwości w nocy. Jeśli nie będzie konsekwentny i nieustępliwy

³ Theodor (Benjamin Ze'ew) Herzl (ur. 2 maja 1860 w Peszcie, zm. 3 lipca 1904 w Edlach) – żydowski dziennikarz urodzony w Austro-Węgrzech, twórca i główny ideolog nowoczesnego politycznego syjonizmu, w tym obecnego państwa izraelskiego.

⁴ Jidysz – język Żydów aszkenazyjskich, powstały ok. X wieku w południowych Niemczech na bazie dialektu średnio-wysoko-niemieckiego (Mittelhochdeutsch) z dodatkami elementów hebrajskich, słowiańskich i romańskich.

wobec siebie, wszystko nie miało sensu, tak przykazywał sobie surowo w drodze do domu. Ledwie tylko zasiadł znów przed swoim biurkiem, w połowie już spał. Walka z naturą jest mało ekonomiczna, usprawiedliwił się i położył do łóżka. Po takim urozmaiceniu spał tak zdrowo, jak już dawno nie spał.

Następnego poranka spotkał dziewczynę, po tym jak dopiero co wyszedł z domu. Była zaskoczona i radosna, nie miała wprawdzie wcale czasu, był szabas, a jej ojciec miał wkrótce przyjść z synagogi. Jednak po południu, jeśli chciał, będzie o pół do czwartej na przystanku Sendlinger Torplatz. Gdy o pół do czwartej – do tamtego czasu spacerował – stał na przystanku, nie było widać panny. Za trzy kwadranse na czwartą skręciła za rogiem. Gdy skręcała w jego stronę oddalona zaledwie o osiem metrów, pomyślał: poczekaj, ja cię nauczę punktualności i w bliżej nieokreślonym nastroju wskoczył do odjeżdżającego tramwaju. Na następnej stacji było mu już znowu przykro i wysiadł. W drodze powrotnej pomyślał: jeśli teraz przyjdę, jestem skompromitowany, obojętnie, czy ja spotkam, czy nie, i spacerował po ulicach. O godzinie piątej był już w wątpliwej bliskości przystanku, wtedy powiedział sobie: teraz mogę już spokojnie przejść obok, jeśli jeszcze będzie, to jest skompromitowana, ale to nie jest możliwe. A jeśli jej nie będzie, to nadłożenie drogi nic mi nie zaszkodzi. Mimo to potajemnie żywiona nadzieja spełniła się, panna Hella siedziała niedaleko przystanku na ławce przy Sendlinger Torplatz i przywitani się ostrożnie, nie wspominając o tym, co zdarzyło się wcześniej.

I oto wyszli z miasta przechodząc przez opuszczone tereny do doliny Izary. Na drugim moście mówili już do siebie na ty. Zachwyciło to Lampiona, gdyż wiedział, że Hella była zupełnie niewinną dziewczyną, a on był niemniej niewinny, zachwyciło go to i zachęciło do kontynuowania sprawy. Czarna pełnokrwista dziewczyna w moralnej surowości wychowania ojcowskiego już zbyt długo czekała na pierwszego mężczyznę, na trzecim moście objęli się i pocałowali po raz pierwszy.

Za czwartym mostem położyli się na trawie i wśród najbardziej pieśczośliwych słów Lampion chwycił ją za piersi, pocałował je, a wśród gruchającego śmiechu dziewczyna broniła się tylko dla pozorów. Zrobiło się późno i ciemno, wtedy Lampion powiedział:

– Poczekaj, chcę cię postraszyć – wziął ją za biodra i obiecał, że jej coś powie do ucha.

Chętnie podała mu swoją ciemną głowę i pocałował językiem wnętrze jej ucha. Hella zapytała go, niepewna i nieświadomie pożądliva:

– Czy to wszystko, co mi chciałeś powiedzieć?

– Nie, to nie wszystko, chodź.

I podała mu drżącą ciemną głowę i ugryził ja w płatek uszny, tak że z białej skóry wypłynęła ciemna, czerwona kropla. Hella spytała go, jeszcze bardziej niepewna i krzywiąc twarz w niewielkim, rozkosznym bólu:

– Czy to wszystko, co mi chciałeś powiedzieć?

– Nie, to jeszcze nie wszystko, chodź! I złośliwie zasyczał jej do ucha:

– Cóż by powiedział twój ojciec, gdyby stał tutaj za krzakiem leszczyny? Na to Hella zaczęła płakać.

Wtedy Lampion pożałował tego, co jej wyrządził, żebrał i przeproszał ją z tak serdeczną żarliwością, jak gdyby rzeczywiście ją kochał. Chętnie mu wybaczyła i gdy wyszli w drogę powrotną do domu, nawet wzięła go pod rękę. Ale wesoły i zmysłowo naładowany, swawolny nastrój, w którym poprzednio byli, zatracił się i gdy szli, to można było ich łatwo wziąć za dwóch starych niedołączonych małżonków. Daleko, jeszcze przed jej domem, musiała się z nim pożegnać, aby nikt jej nie zobaczył i umówiła się z nim na następny szabas.

Na swoim stoliku Lampion znalazł zaproszenie od „Stowarzyszenia Wschodnich Żydów”. Wprawdzie było już późno, ale dlaczego by nie pójść. Na początku Lampion nudził się nadzwyczajnie, nagle powitał go jeden z dalszych znajomych, pociągnął w wielki krąg gwałtownie gestykulujących i rozmawiających starszych panów i przedstawił. Wkrótce Lampion uwikłał się w zażartą debatę na temat legionu żydowskiego.

– Każdy sprawiedliwy Żyd – krzyczał jeden z mężczyzn – czuje się dostatecznie ciężko ukarany przez Boga, gdy musi być żołnierzem w polskim wojsku. Ale przeciwko temu niewiele można zrobić. Żyd nie urodził się do szabli i strzelby, obojętnie w czyim interesie jest konflikt! I dlatego legion żydowski jest zbrodnią przeciwko Talmudowi i Torze, a poza tym to szaleństwo!

– Przepraszam – uniósł się Lampion – Polacy i Arabowie biją, mordują i okradają nas. Jeśli będziemy mieli naszą własną broń i żołnierzy, Polak i Arab zaczną się bać i nie będzie już żadnych pogromów. Jeśli tu-

taj powstanie żydowski legion – wykrzykiwał z entuzjazmem – to będę pierwszym, który do niego przystąpi!

– Panie Lampion – poklepał go jakiś pan po plecach,

– Pan mi się podoba. Czy nie mówię zawsze do mojego syna: możesz zostać każdym, tylko nie tchórzem!?

Wziął Lampiona pod rękę i zaprowadził go do pustego stołu.

– Niech pan siada, Chcę z panem porozmawiać. A pan, panie starszy, niech pan przyniesie panu szklankę wody, tak z cytryną? Widziałem przecież, że ma pan prawdziwie rosyjski smak, czułem to. Wie pan, nie mogę zrozumieć, jak można pić herbatę z mlekiem. Ale my dwaj mamy dokładnie ten sam gust i będziemy się już rozumieć, powiem, przecież jeszcze nigdy nie myliłem się co do człowieka. Nie musi mi pan w ogóle nic odpowiadać i mówić. Jestem doskonale zorientowany. Jest pan studentem i pan mi się podoba, pochodzi pan z dobrego, a nawet z bardzo przyzwoitego domu. Pana pradziadek był rabinem w Obrzycku⁵, czy mam rację? A pana dziadek ze strony ojca, na Boga, jeśli się nie mylę, sądzę, że chodziliśmy razem do szkoły. On umiał zawsze tak szybko biegać, gdy coś zmalował, a ja otrzymywałem lanie. Czy jeszcze żyje, nieborak? A więc dokładnie dowiedziałem się na pana temat. Już tak dawno mi się pan podoba: a więc: krótko i zwięźle, dlaczego chce pan studiować? Jeszcze rok, jeszcze dwa lata, jaki to wszystko ma cel? Jest pan dostatecznie mądry i wystarczająco stary: mój stryj nieboszczyk ożenił się w wieku piętnastu lat, a jakie bogactwo osiągnął! Jedna czwarta jego majątku wystarczyłaby na zawsze do życia. A więc chcę panu zrobić propozycję.. Niech pan zostawi profesorów i pajaców ze wstążkami, i piwo-szy, niech studiują sami, otworzę dla pana sklep na Marienplatz, wynajmę już pomieszczenie, a materiały dostarczę panu gratis i franko, wielkie okno wystawowe pełne i regały, a ożeni się pan z moją córką. Nie może się panu przydarzyć większe szczęście, sklep, mówię panu, sklep, jakiego sam Rotschild nie mógłby mieć lepszego w swoim czasie, i córka, którą pan otrzyma, jest piękna i młoda., nie widziała jeszcze mężczyzny, gdzie

⁵ Obrzycko (niem. *Obersitzko*) – miasto w województwie wielkopolskim, w powiecie szamotulskim, położone przy ujściu rzeki Samy do Warty. Według danych z 31 grudnia 2013 miasto miało 2384 mieszkańców Na drugim brzegu Warty znajduje się pałac Raczyńskich w Obrzycku-Zamek z około 1856 roku, a wokół pałacu park krajobrazowy z I. połowy XIX wieku. Pałac Atanazego Raczyńskiego został w ostatnich dziesięcioleciach zmodernizowany i jest obecnie własnością Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

obecnie spotka pan coś takiego? Wszystkie dziesięć palców polizałbym sobie za dziewczyną, gdyby nie była moją córką. A więc niech mi pan poda dłoń i powie 'tak' i kiedy ma być wesele?

Lampion podał mu rękę i powiedział, aby starszego pana nie zdziwić, że musi sobie jeszcze kilka spraw głęboko przemyśleć, oferta jest dla niego zbyt nieoczekiwana, a poza tym decyzja nie jest możliwa, zanim on, Lampion, nie przeprowadzi listownej korespondencji z rodzicami, przecież nie jest jeszcze pełnoletni, ma dopiero osiemnaście lat.

– Nu, co mi to szkodzi? Niech pan przemyśli sprawę i napisze swoim rodzicom, najlepiej, jak pan zatelegrafuje. Coś takiego nie spotyka się przecież codziennie na drodze. I na następny piątek, niech pan przyjdzie wieczorem do mnie, na kolację, aby zobaczyć narzeczoną, i niech pan przyniesie odpowiedź od rodziców. Zgoda?!

W ten sposób Lampion otrzymał kartę wizytową, uścisk dłoni, aż zabolowały go palce i poszedł do domu.

Coś równie komicznego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. Zupełnie nieznaną osobę przyszedł skądś starając się zostać teściem Lampiona. Nawet nie wiedział dokładniej, jak ten człowiek nazywał się. Sięgnął po wizytówkę i przeczytał: Chalim Schindler, materiały i perkalen gros & en detail, Buttermelcherstrasse 87. Komiczne, Schindler, Schindler – skąd znał to nazwisko? Stop! Hella Schindler, Hella nazywała się Schindler, niech to diabli! Helle Schindler, Buttermelcherstrasse 87, naturalnie, była córką, z którą miał się ożenić. Opowiadała, że była w domu jedynaczką, naturalnie, nie mogła to być inna. Komiczne, nieborak-staruszek dumnie opowiada, że jego córka nie widziała mężczyzny i nie zna także żadnego innego, a w tym samym dniu jeszcze całowano ją i można było, w to nie mógł wątpić żaden jasno widzący człowiek, i można było z nią pójść do łóżka, jeśli tylko się tego chcieli.

Stop, to było podejrzaną, halo Lampion, lisie, wpadasz we wnyki. To całe ściskanie i opuszczanie głowy było tylko trikiem, ukartowaną grą, aby go złowić. Nie można było, czy matka tego zawsze nie mówiła, nie można było mieć odwagi, aby jego wschodnim braciom przejść przez drogę, fuj do diabła! Ojciec i córka leżeli pod tą samą kołdrą. Chciała go doprowadzić tak daleko, aż jako przyzwoity człowiek musiałby ożenić się, a kiedy w ten sposób zostałyby odcięte od rodziny, można byłoby zmniejszyć posag i postawić szantażujące warunki. Natychmiast

musiał odpisać, że nie mógł się z tymi dwojgiem zobaczyć, czy było już za późno?

Nie, mimo to było rzeczą niemożliwą, że uprawiano by tutaj ukartowaną grę. Na to dziewczyna zachowywała się o wiele za bardzo naturalnie. A dziś rano, zupełnie przypadkowo ją spotkał, zaledwie się poznali. I dzisiaj po południu pielgrzymowali do doliny Izary i to były same przypadki, nawet jeśli występowały bardzo rzadko. Jednak musiał wykluczyć swoje podejrzenia, myśleć tak źle o ludziach było podłe. I tak źle nie myślał już o dziewczynie z powodu swojej próżności. W każdym razie trzeba było być ostrożnym. Wymyślił fantastyczny plan, zawiesił tego wieczoru myślenie i pracę przy problemach mających zbawić świat i spał znów zdrowy i bez złych snów aż do poranka.

Po śniadaniu poszedł na Buttermelcherstrasse i stanął w oczekiwaniu przed domem swojej donny. Odkrył ją po krótkiej chwili w oknie czwartego piętra i przesłał spokojne pozdrowienia na górę. Hella była przypuszczalnie nad wyraz uradowana, że tak niespodziewanie go znowu zobaczyła, cała jej twarz promieniowała i posłała mu w dół całusa, Mentalnie zniknęła. Wydawało się, że jej stary ojciec interweniował, pomyślał Lampion, niech go diabli wezmą, ale ja mam czas, mogę poczekać. brama domu rozwarła się, a Hella przybiegła do niego przez chodnik.

– Muszę z tobą porozmawiać. Masz teraz czas?

– Tak – nie – pół godziny..

– Ale ja nie chciałabym się w tej okolicy pokazywać z mężczyzną.

– Dobrze chodź do mnie, mojej gospodyni nie ma teraz w domu.

Poszli szybko i po cichu, Lampion otworzył drzwi kluczem i pozwolił jej usiąść na sofie. On sam chodził tam i z powrotem po pokoju, rozważał jeszcze swój plan, podczas gdy ona nieśmiało się rozglądała. Potem usiadł obok niej, objął ją i zapytał:

– Kochasz mnie?

– Jak ty możesz w ogóle pytać, głupi chłopaku? I rozpoczęła w obliczu krótkiego czasu, który miała do dyspozycji, huraganowy ogień pocałunków.

A więc dotychczas wszystko odbywało się zupełnie na jego życzenie i z niewielkim oporem zaczął opowiadać:

– Przydarzyło mi się coś komicznego. Zupełnie obcy człowiek zaprasza mnie do tego, abym poślubił jego córkę. Co mam zrobić?

Hella śmiała się głośno.

– Czy to monachijczyk?

Lampion pokazał jej kartę wizytową. Hella zbladła:

– To mój ojciec.

– W takim razie powiem temu panu, że niekoniecznie muszę ożenić się z dziewczyną, która bez metryki ślubnej zjawia się w moim mieszkaniu.

Dlaczego to powiedział? W jaki sposób doszedł do tego, aby wymyślać sobie tak brzydki plan? Oto siedziała tutaj ta piękna dziewczyna, która czyniła dla niego tylko same piękne rzeczy, siedziała oniemiała wskutek szoku, jaki przeżyła po jego słowach i nawet nie była w stanie płakać. Na pewno nie wiedziała ani słowa o planie swojego ojca. Uczynił jej niezmierną krzywdę.

Chciał się rzucić przed nią, wtulić głowę w jej łono, płakać, płakać, płakać, dlaczego ci to uczyniłem, to tylko ból, tylko moje bezgraniczne ubóstwo, które tak popycha, które nie daje mi spokoju, które mnie podburza, od szaleństwa, do szaleństwa. Ale dlaczego nic nie mówiła? Dlaczego do niego nie krzyczała, dlaczego nie uderzyła go w twarz, gdy nie miał racji! Dlaczego pozwoliła sobie to opowiedzieć?

Jeśli to nie tylko z jego strony, ale także i jej było wykalkulowaną, ukartowaną grą, jeszcze raz, do diabła! Grała znakomicie. Jeśli mógłby tę scenę zobaczyć w teatrze, nie mógłby nad nią w nocy zasnąć, jak genialną była aktorką, nie płakała, siedziała niema, blada tak, że ta bladeść prawie przenikała jej rzeczy, te oczy – człowiek, Lampion, dokąd dajesz się zagonić – wtem, wstała, powoli, stanowczo, niesamowicie, przeszły po nim dreszcze, halo, masz jeszcze sekundę czasu, rzuć się jej na drogę, odwołaj swoje słowa, są jeszcze w powietrzu, płacz, rzuć się na ziemię przed nią – nie, jak mógłby grać taką komedię – podeszła do drzwi. Położyła dłoń na klamce. Jak martwo blada dłoń to była, jeszcze nigdy nie wiedział o tym, jak blade mogą być, blade, oglądał to razem z nią. Drzwi się otworzyły. Drzwi się zatrzasnęły. Słyszał jak drzwi od sieni zamykają się. Słyszał, jak trzeszczą schody. Wyszła z domu. Nie ruszył się z miejsca. Wyszła. Nie powiedział ani słowa. Lampion czuł się niezmiernie zmęczony. Zaryglował drzwi. Zamknął okno. Spuścił żaluzje. Zaciągnął zasłony. Rozebrał się. Położył się do łóżka. Natychmiast zasnął. Spał przez kilka minut. Zerwał się na równe nogi. Czy coś siedziało na jego kołdrze?

Wyglądało to jak diabełek. Komiczne. Znowu się zerwał. Coś siedziało na jego kołdrze. Wskoczył z łóżka. Pstryknął światło. Niczego nie było na kołdrze. Kołdra była biała jak śnieg. Świeżo ubrana. Wyłączył znów światło. Położył się znowu. I nie mógł już zasnąć. Wstał. Znowu podciągnął żaluzję. Na dworze świeciło słońce. Było południe. Nie chciało mu się jeść. Leżał i nadśluchiwał. Zupełna cisza. Cisza płakała. Nie przypominał sobie, żeby usłyszał początek płaczu. Nigdy już nie przestanie. Tak jakby w świecie ktoś umarł...

Być może nie był zupełnie zdrowy. Nie mógł chorować. Choroba była brakiem woli, nie mógł zachorować. Nie mógł dać się pokonać przez jeden epizod, sprawa z Hellą była tylko epizodem, niczym więcej. Nie wolno mu było wdawać się z nią w żadne afery, tak byłoby mądrzej, trzeba było rozważyć sprawy na zimno. Jednak tak się stało i było dobrze, że tak się skończyło. Dlaczego zresztą Manila nie wydała mu się podobną do dziwki? A może jednak? Nie można w ogóle wdawać się w żadne romanse z kobietami, kobiety blokują drogę. Unikał wspomnienia o tym, czego nie oddałby jeszcze zupełnie niedawno za posiadanie kobiety. Jednak ten epizod był już odłożony i załatwiony, z odrobiną samoświadomości będzie się próbowało pójść dalej i uczynić coś dla świata.

Przede wszystkim należało być uczciwym wobec siebie. A uczciwie rzecz biorąc, powiedział sobie Lampion, jedyną możliwą rzeczą było pozostawienie dziewczyny, która chciała skaperować kogoś w celu oszustwa. Kim innym był pobożny i zacny pan Schindler, handlował materiałami, perkalem i swoją córką. Kim innym była jednak ta córka jak nie dziwką, która jeszcze wspierała oszustwo swojego ojca. W postaci Lampiona tym ludziom wypadł z rąk dobry interes, ucieszył się, że pokrzyżował plany tej pary, złodziejskie i złośliwe. Nie chciał mieć nic wspólnego z oszustami. Należało być uczciwym i trzeba było dotrzymywać tego, co się uczyniło, trzeba było być dzielnym i uczciwym. A więc pomiędzy dwoma duszami w jego piersi wywiązała się następująca dysputa:

Halo panie Lampion, nie ustępować! Gdzie zatrzymaliśmy się na sprawiedliwej drodze, aby zejść na boczną drogę, podjąc epizod prowadzący na manowce? Przy syjonizmie, akcji głównej i państwowej, panie Lampion. I halo, mister Lampion, niech pan nie zasypia, panie Lampion, to pan przyczynił się do poznania tego tak zwanego syjonizmu. W celu jego zgłębienia i przetłumaczenia w czyn przeczytał pan istotnie tak

wiele książek i gazet, czytał pan masowo artykuły ekonomiczne, je trawił i powiedzmy wcielił je we własną krew – czy panu nie wpadło w oko nic osobliwego? Na pewno już raz odkrył pan słowo socjalizm, co pan o nim myśli? Jest pan przecież uczciwym człowiekiem?

Tak, na pewno, bez pewnych socjalistycznych podstaw, nie uda się zbudować syjonistycznej Palestyny.

Tak pan sądzi, mister Lampion? Jeśli pan jednak chce rewolucji, dlaczego właśnie w Palestynie? Mówi pan, że pogromy i znęcanie się zmuszają Żydów do migracji i poszukiwania własnego kraju, nieprawda? Dobrze, ale wie pan, panie Lampion, że naród, który nie głoduje i nie jest w biedzie, nie urządza pogromów. Panie Lampion, niech pan zlikwiduje głód i biedę, niech pan stworzy sprawiedliwe ekonomiczne warunki życia, niech pan stworzy socjalizm, wtedy wszędzie na całym świecie będzie pan mógł żyć dobrze, wtedy nie będzie pan potrzebował syjonizmu!

Dobrze, w porządku, ale ta rewolucja socjalistyczna jest utopią. Nie wiemy, kiedy nastąpi. Mieliśmy dzisiaj pogrom, musimy jeszcze dzisiaj zabezpieczyć się przeciw pogromowi, który może nastąpić jutro, musimy jeszcze dzisiaj wyemigrować.

To nie tak, panie Lampion. Dokładnie tak samo spieszy się nam z socjalizmem, jak panu z emigracją. Niech pan dzisiaj wstąpi do czerwonej armii, wtedy jutro nie będzie pan musiał emigrować. Jednak jest pan komisarzem bezpieczeństwa, idiotą, a nie uczciwym człowiekiem. Ukryj pan za swoim wędrownym celem nie poprawę świata, lecz resztki swojego ojcowskiego dziedzictwa. Pan nie chce być zabezpieczony, lecz chce pan powrócić do boga pana ojców. Musi to dla pana być krajem, a nie cała ziemia. Chce pan się zemścić i upodobnić się do swoich dręczycieli, jeden naród, jedna wojna, jeden pogrom. Nie chodzi pan już do synagogi, je pan wieprzowinę, jednak chce pan wrócić do ojczyzny swoich ojców, którzy nie żyją od tysiącleci. Jest pan zmęczony, panie Lampion, pan tęskni za domem. Niech pan się pozbiera, panie i niech pan idzie dalej swoją drogą, jeśli jest pan uczciwym człowiekiem.

Prowadząc takie monologi, Lampion został socjalistą.

Czuł się teraz bardziej wolny, awansował, coś przewyciężył. Niekiedy żałował, że nie był gatunkiem węża; wypchałby sobie w przeciwnym razie na pamiątkę zrzuconą skórę i powiesił ją nad łóżkiem.

Z satysfakcją i czasem wolny, na co pozwalały mu przysyłane punktualne comiesięczne weksle jego ojca, Lampion rzucił się w wir socjalistycznych problemów. Z miną fachowca sprawdzał teraz obliczenia i statystyki, liczył potem i przedtem, i czuł się w świecie ekonomii jak w domu.

Z największą przyjemnością urządzał sobie w swoich myślach, do pewnego stopnia jako przerywnik i część artystyczną, rodzaj politycznego teatru. Pozwalał występować na scenie przywódcom walczących ze sobą partii jako aktorom i znajdował w tych dysputach wesołą rozrywkę wykorzystującą zmianę jego poglądów.

Przedstawił się Theodorowi Herzelowi i nigdy nie zapominał użycia wobec niego atrybutu „pan”. Ale w myślach zaczął przed nim trzymać czerwoną chustę, aby go rozwścieczyć, Ah, panie nieboszczyku, pnie zmarły, panie trupie!

– Nazywam się doktor Herzel – kazał mu odpowiadać karcącym basem.

– Tak, w porządku, sądzę, że kiedyś słyszałem, że jest pan założycielem tak zwanego syjonizmu? Niech pan mi pozwoli, że przedstawię panu pana przeciwnika, przeciwnika a priori, pana Karola Marksa, wspańiałego człowieka, mówię panu.

W swoich wyobrażeniach Lampion był czarnoksiężnikiem. Nie tylko, że kazał występować zmarłym, tak jakby byli aktorami, nie, on sam, razem grał w scenach ze zmarłymi, sam grał główną rolę głównego zmarłego, grał Karola Marksa.

Żadna rola nie była w stanie spodobać mu się bardziej niż właśnie ta. Lampion widział w Karolu Marksie wysokiego, nad wyraz barczystego i pozornie bardzo silnego fizycznie człowieka i także wybitny, nadzwyczajnie szeroki oraz aż do matematycznej ostateczności ostry i konsekwentny umysł, ogólnie widział w nim równego gościa. Musiał pogardzać arystokratycznym, brodatym doktorem Herzlem z całej swej duszy, i jego odgrywany przez siebie samego teatr brzmiał wtedy tak:

– Panie doktorze Herzel, słyszę, że chce pan w jakimś kraiku gdzieś daleko - zorganizować staro-nowy kraj?

– Dziękuję za łaskawe pytanie, panie Marks, iloma tysiącami dolarów rocznie może moja kasa szeklowa⁶ obciążyć pana konto?

⁶ Szekel – tradycyjna nazwa pieniądza żydowskiego. Izraelski szekel został wprowadzony w 1980 wypierając lirę, inaczej nazywaną *szerlingiem izraelskim* (nomenklatura zapo-

– Nie potrzebuje pan wcale, nie po to doprowadziłem moje dziecko do śmierci głodowej, aby panu fundować drzewa eukaliptusowe. Gratuluję panu republiki spekulantów.

– Niech pan pozwoli, panie, miałem audiencję u niemieckiego cesarza, która –

– Na nic nie pozwalam. Bardzo żałuję, że podałem rękę takiemu indywidualizmowi, które miało audiencję u niemieckiego cesarza. Może pan być - pomijając kilka błędów rachunkowych i myślowych - być zupełnie zdrowym obywatelem. Gdzie tu jest najbliższa okazja do umycia?-

Lampion bawił się wyśmianiem, nawet jeśli wkrótce nie uważał takich dysput o syjonizmie za niezbędne, ale były miłą rozrywką pomiędzy statystykami, liczbami i obcymi słowami, które się nie zawsze pojmowało. Uporał się z syjonizmem, przy pomocy nagiego faktu materialistycznego pojmowania historii w swojej opinii udusił go, dziwił się i kręcił nosem, gdy przypominał sobie, że istnieli jeszcze syjoniści. Był tak wybitnym mózgiem, że wyprzedzał wielu starszych i bardziej doświadczonych?

Udało mu się zdemaskować ruch syjonistyczny jako to, czym w istocie był, jako religię i reakcję, ukrywającą się za maską pomocy i poprawy świata. Dumnie skonstatował Lampion na podstawie annałów ruchów rewolucyjnych, że krytyka religii była fundamentem socjalizmu. Gdy już można było uwolnić się od wiary, od wiary w Boga, to socjalizm był konsekwentnym następnym krokiem. Jeśli jedyną tradycyjną opinię uznało się za przesąd, „intuicję” za szwindel, to analogiczny wniosek w stosunku do wszelkich zebranych tradycji i intuicji był oczywisty. W miejsce bezkrytycznego przejścia pojęć i wiary należało wstawić rozumowe sprawdzenie praw fizycznych, czyli marksizm. Było to murowane, przekonanie to stało niczym skała.

Jednak Lampion spotykał się z takim zjawiskiem, że im bardziej podczas lektury zagłębiał się w socjalistyczne teorematy, aby opanować całą dziedzinę i wyczerpać, i aby wykonać praktyczną pracę, tym bardziej popadł w zamęt. W stosach suchych wariantów teorii Marksa mógł

życzona z czasów mandatu brytyjskiego w Mandacie Palestyny; 1 „stary” szekel = 10 lir izraelskich). W 1985 został zastąpiony przez nowego izraelskiego szekla (1 NIS = 1000 „starych” szekli). Nazwa pochodzi od hebrajskiego czasownika שקל, czyli „ważyć” (hebr. *sheqel*, arab. *thaqal*). W starożytności szekel (gr. *siklos*) stanowił także jedną z jednostek wagi (np. w Syrii, Babilonii czy Egipcie).

się odnaleźć tylko z ledwością. Gdy twierdzenia jakiegoś epigona odbiegały znacząco od odpowiednich twierdzeń Marksa, które Lampion właśnie uważał za dowiedzione, to w obliczu przekonującego matematycznego opisu przeciwnego dowodu, musiał przyznać rację temu, co przeczytał. I czy nie trzeba było być dzielnym i dostatecznie uczciwym, aby móc poprawić mistrza w niezbędnym przypadku? Jednakże kunsztownie uporządkowany system popadał w nieład i było się niepewnym i w złym humorze. Jednak nie można było wymigiwać się od tego.

W tym niebezpiecznym dla niego czasie wpadły mu w ręce książki Gustawa Landauera, zdjęcia tego człowieka i notatki dotyczące jego życia. Lampion czytał jego książki z rosnącą nieufnością. Ten Gustaw chciał załatwić świętego Karola Marksa? Komiczne i osobliwe. Landauer musiał dziwnie wyglądać, Człowiek olbrzymiego wzrostu i taka wąska, długa, czarna broda, wysokie okrągłe czoło, dla niego, Lampiona, mało sympatyczne. Ale ten niezwykły człowiek był, jak by nie było, dziwny, należało go w dalszym ciągu badać, choćby po to, aby go odrzucić.

Także i ten człowiek był Żydem. Dziwne, że wszyscy zmarli, z którymi Lampion miał do czynienia, byli Żydami, tak jak on. Tylko Manila, jedyna, żyjąca, utracona, była – Germanią. Być może Lampion kochał ją tylko dlatego, że właśnie ona posiadała wszystkie właściwości, których brakowało jemu i jego zmarłym, książkom i całej tej kupie niepotrzebnych rzeczy. Gdy się było samemu Żydem, można było nad tym wszystkim stać się antysemitą. Ten naród był tak podburzany, wewnętrznie i sam przez siebie, niespokojnie mądry, naduczuciowy. W tym narodzie już dzieci czytały tak wiele, że operatywność ich umysłów wymagała okularów i binokli. Ten Gustaw Landauer był na pewno także takim superduchem, Lampion czuł sam już niemal wstręt do częstej lektury i nauki, jednak należało wytrwać.

Lampion przeczytał powieść młodego Landauera i z oburzeniem stwierdził, że to nie powieść, lecz bękart, coś pomiędzy Kellerem a Nietzsche. Jednak poza tym, i to sprawiło, że zbladł, występował tam protagonista w postaci konstruktu tzw. „kaznodziei śmierci”, wygłaszającego kazania o konieczności ogólnego samobójstwa. Czy Lampion w swoim chorym szaleństwie, związanym z utraconą Manilą, nie uczynił czegoś podobnego na oczach „polskiego wiecu” od czasu, gdy wiedział, że „kaznodzieja śmierci” już przed trzydziestoma laty był kaznodzieją śmierci,

nienawidził Landauera jak dżumy. Tylko śmierć chroni mnie przed zabiciem ciebie! Krzyczał do nieba.

Jak mogło być możliwe, że występowały takie podwójne wizje! Życie zaczynało być niezmiernie śmieszne. Czegoż to właściwie należało się trzymać? Lampion po raz pierwszy w życiu odmówił sobie jedzenia, aby zapłacić za wszystkie egzemplarze „Kaznodziei śmierci”, które przyniósł z księgarń. Strona po stronie darł książki na małe strzępy, które palił.

Powoli pokonał kryzysy lękowe. Z tym większym gniewem rzucił się na socjalistyczne tezy Landauera; doprowadzę cię do nokautu, powiedział sobie, poczekaj tylko. Jednak nie uwolnił się od tych książek. I potem, jak zawsze zainscenizował sobie dla rozrywki sztukę teatralną o wielkich umysłach, ukazał mu się duch tego człowieka, chociaż go nie wywoływał.

– Ty błźnie Lampionie – powiedział duch, jak mogłeś wpaść na tego profesora, na ten chodzący paragraf. Świat jest tak daleko, a życie jest tak wielkie, trzeba je przeżyć a nie kalkulować. Spełnij tylko swoją wymyśloną funkcję i zobacz, jaka będzie przyszłość twojego ideału w rzeczywistości: państwo składające się z samych urzędników i ludzi z papierami i żadnej radości i ochoty. Ale ono wcale nie nadejdzie. Czy zauważyłeś we wszystkich statystykach, że twój profesor pomylił się w swoich prognozach? Czy jeszcze nigdy nie czułeś, że wróg, przeciwko któremu sędzicie walczyć, jest nie poza wami i istotami, a także w was i robi z was durnia? Jeśli chcesz poprawić świat, popraw najpierw siebie samego.

Przeciwko temu było niewiele argumentów. Lub czy jego własny twór, na który stracił całą noc, chciał go wystrychnąć na dudka i zapędzić w kozi róg.?

– Hej, ty, dalej już nie możesz: ja Lampion, nienawidzę ciebie, jesteś jedynie zmarłym, trupem, szkieletem, pokarmem dla robaków, cuchnącą padliną, precz z tobą, idź, już cię nie potrzebuję, jestem zmęczony, chcę spać!

– Myślałem, mister Lampion, że jesteś dzielny i uczciwym człowiekiem, przepraszam, że przeszkadzam. Nie szukałem pana, nie szukam, czekam. Kto tęskni i jest strapiony i nie może tak dalej, i chce wszystkiego lub niczego, na tego się oczekuje i tego się wzywa. Przepraszam.

– Jeszcze raz, panie duchu, zanim na zawsze odstępisz ode mnie, poproszę pana na chwilkę. Jeśli pan pozwoli, nawet gdyby to pana miało uśmiercić, że panu powiem, że jest pan szczurołapem i Don Kiszotem. Twierdzi pan, że pan walczy i jest wzburzony, tymczasem jest pan jedynie mówcą pięknych słów i jestem zmuszony pośmiać się z pana, nie ma pan żadnego wroga, nie ma pan ruchu, święta wojna do niczego nie prowadzi. Ma pan tylko urojenia i jest pan utopistą.

Naraz zaczęły mówić ściany, mówić rzeczy, mówił deszcz w oddali, wszystko mówiło o skrytykowanej sprawie.

– Wróg jest wielki. Wróg jest wszędzie Ty głupcze masz rację tylko – odnajdź się w swoim prawie: wszystko jest niczym, nic jest wszystkim. Nigdy nie pozostawiaj wroga z liczbami. Opanuj się, w sobie jeszcze za bardzo jesteś dla siebie wrogiem.

Lampion nie był taki jak zwykle, gdy rozmawiał z duchem. Normalnie wyobrażał sobie ducha bardzo osobowo i fizycznie, zawsze uważał, że jeśli drugiemu, który także był figurą wymyśloną przez niego, zbyt złośliwe, wyszlifowane słowo wymysknie się, że tego drugiego ducha, urazi, obrazi, będzie mógł go odstawić, w najbardziej niebezpiecznym przypadku przepędzić. Tym razem było zupełnie inaczej. Duch był rzeczywiście, stworzony przez niego samego i nie był fikcją Lampiona. A jednak nie taki jak zjawia, lecz zupełnie bez obrazu, zupełnie duchowy. Rzeczywiście rzeczy w pokoju i ściany i deszcz na zewnątrz musiały być obcymi i oddzielonymi od niego obrazami, które tak do niego mówiły, że drżał;

– Wróg w tobie jest na obraz i podobieństwo Boga poza tobą. Ty sam jesteś wszystkim, przeciwko czemu miała być skierowana walka, jeśli chcesz zostać socjalistą. Ty sam jesteś klechą, tyranem, panem pieniędzy i towarzyszem pieniędzy, jesteś tchórzostwem i gnuśnością, głupotą i wygodnictwem tradycji, rachmistrzem i adwokatem, dyplomatą i profesorem. Ty sam tworzysz front jedności przeciwko sobie i jesteś swoim dawniejszym wrogiem. Ty sam, ty uczciwy człowieku, jesteś równocześnie swoim surogatem i swoja karykaturą. Ty nie jesteś duchem, duch ogarnięciem całości w żywej ogólności, czas jest połączeniem rozdzielonego, rzeczy, pojęć oraz ludzi: duch byłby podczas twojego entuzjazmu wskutek przejścia na drugą stronę żerem, odwagą, walką, czynem i budowaniem. Jesteś sceptykiem i tchórzem i rachmistrzem. Jesteś materialistą,

twoje ciało jest tym, kto buduje swojego ducha, tak samo jak jest ono mu niezbędne do wymówek.

To wszystko było zupełnie na zewnątrz, wdzierало się w Lampiona, nie mógł się uratować, czuł, że dusi się, ryczał niczym pod wpływem szantażu do drugiego: chcę podążać za tobą, chcę podążać za tobą!

Wszystko minęło. Sama Manila czuła się Lampionem. Obawiał się tej samotności. Miał strach przed sobą, przed ścianami. Wybiegł na ulicę. Pobiegł w górę i w dół ulicy. Pod parasolem ostrożnie dreptało coś wzdłuż domów: „skarbie, pójdiesz ze mną?” Jeszcze nigdy Lampion nie był u takiej kobiety.

Szedł przez przecznice, ponure, których jeszcze nigdy nie widział. Przez ciemne podwórze.. Zatrzasnęły się drzwi. Po schodach z przodu dziewczyna z latarką, otwarła zamek. Zatrzasnęły się drzwi. Dziewczyna zapaliła lampę naftowa. Musiał płacić. Dopłacić. Poczęstować papierosami. Potem wszystko odbyło się krótko, krótki interes. Mógł wyjść. Nie miał nawet niewielkiej ochoty.

Przypomniała mu się Manila. Otrząsnął się, podobnie jak kundel otrząsa się z pcheł lub błota. Znów wszystko zapomniał. Ciągłe jeszcze padało. Czy nie zaziębił się? Zgniłby mu nos. Był zmęczony. Nogi maszerowały mechanicznie przez deszcz. Coraz dalej.

Wydawało się, że po drugiej stronie ulicy przechodzi człowiek. Bardzo wysoki człowiek. Z długą peleryną. Z czarną brodą. Padało przez całą noc. Nigdy jeszcze nie widział tak wysokiego mężczyzny.

Doszedł do końca miasta Chodził do końca nocy. Nie chodził do końca deszczu. Zmierzch wypełził z horyzontów. Wiatr pomykał po kątach. Olbrzymi mur wszystko odgradzał.

Lampion usiadł na mokrej ziemi. Przy murze. Krok za krokiem, jak twardy zegar wybijający godzinę, kroczyły dwa posterunki. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Za murem rysowało się więzienie.

Ze zmroku wychynął wysoki mężczyzna w pelerynie. Posterunki zaprezentowały broń. Krok przez mur. Lampion mógł wszystko zobaczyć. Czy także wokół niego wyrósł mur?

Nagle cała horda żołnierzy pojawiła się wokół wysokiego mężczyzny. Nikt nie dorównywał wzrostem wysokiemu mężczyźnie. Czy to wszystko Lampionowi się przyśniło?

Kolbami karabinów uderzali wysokiego mężczyznę. Ich usta były skrzywione, tak jakby wykrzykiwali przeciwko mężczyźnie ordynarne słowa. Jednak Lampion niczego nie słyszał. Działo się to wszystko w jakiejś koszarnej ciszy - czy było to tylko sen?

Do grupy żołnierzy przystąpił oficer. Wysoki mężczyzna chciał coś powiedzieć. Oficer uderzył go pejcem do jazdy konnej w twarz. Żołnierze rozciągnęły usta w szerokim uśmiechu. Kolby uderzyły z góry na niego. Mężczyzna upadł. Oficer wykrzykiwał:

– Ta kanalia jeszcze żyje – krzyczał śmiejąc się ochryple i rycząc. Był to jedyny dźwięk, który Lampion usłyszał. Być może nie było to jednak snem.

Czy miał podskoczyć i pomóc mężczyźnie? Czy dać się zamordować? Czy miał uciekać? Lampion nie podniósł się. W niewytłumaczalnym uczuciu. Być może był to tylko sen. Sierżant obrócił kolbę. Wycelował. Strzelił. Lampion podskoczył. Nie, nie trafił go. Lampion nie był ranny.

Żołnierze potruchtali dalej przez podwórze. Lampion zatrzymał się przy murze. Wyraźnie czuł, że opiera się o mur. Powoli zaczęło znów padać. Podwórze było zupełnie puste.

Tylko ciało leżało w środku. Twarz zalana krwią. Deszcz kapał na podwórze. Nie było widać żadnego człowieka, tylko ciało zabitego. Nagle na podwórze zakradł się sierżant. Był to ten sam, który strzelał. Podszedł do trupa. Szybko odciągnął pelerynę. Wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki. Nie wyszedł od razu. Wyrwał go. Zegarek wypadł.

Lampion chodził znów po ulicach. Znów padał deszcz. Był dzień. Trzeba było coś zrobić. Tym mężczyzną, którego zamordowali na dziedzińcu więzienia w Stadelheim pod Monachium, był Gustaw Landauer. Należało coś zrobić. Wyraźnie było to widać, żyło się życiem zbrodniarzy. Trzeba to było zmienić.

Lampion napisał do swojego ojca, że już nie potrzebuje pieniędzy. Z przekonania i po wpływie własnych przeżyć czuje się zmuszony zostać rewolucjonistą. Ich drogi rozeszły się, musiały się rozejść. Gdy on, Lampion zemści się za ludzką niesprawiedliwość i stworzy coś sprawiedliwego i uczciwego, da znowu o sobie znać.

Za ostatnie swoje pieniądze Lampion wyjechał do Berlina. Trzeba było być w centrum kraju, aby być w stanie działać. Co będzie robił? Po pierwszej nocy jeszcze tego nie wiedział.

Drugą noc spędził w schronisku dla bezdomnych. Przez trzy dni nic nie jadł. Ale nie można było nic zrobić bez jedzenia. Być może życie było po to, aby jeść? Być może duchowe problemy były tylko środkiem na trawienie dla sytych darmozjadów? Własny głód był bardziej intrygujący niż to, że zamordowano wysokiego człowieka w pelerynie. Przed dwoma tysiącami lat ukatrupiono nawet Chrystusa. Czasy nie zmieniały się. Nie można było nic na to zrobić. Trzeba było być uczciwym wobec siebie. W burczeniu żołądka Lampion odkrył swoją ostatnią uczciwość. Trzeba było postarać się o pieniądze. Przecież nie można było umrzeć z głodu. Pieniądze, pieniądze! Chciało mu się jeść. Trzeba było pojechać do Armii Zbawienia.

Lampion wsiadł do tramwaju. Dał konduktorowi swoją ostatnią monetę pięćdziesięciofenigówkę, wcisnął bilet do kieszeni i mógł jeszcze odebrać resztę ze swojej pięćdziesięciofenigówki. Konduktor wypłacił mu na rękę:

– Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, jedna marka, dwie marki, pięć marek, proszę bardzo!

Lampion nie skomentował tego nieprawidłowego zysku ani słowem, pomyślał tylko, że zje sobie niespodziewanie dobry obiad i wysiadł na następnym przystanku.

Poszedł do dobrej mieszczańskiej restauracji, zjadł sznycel i wypił ciemne piwo. Kelner pomógł mu ubrać płaszcz i policzył mu:

– Piwo ciemne – trzydzieści, sznycel – jeden osiemdziesiąt, bułka? – dwie marki.

Lampion położył swoją monetę trzymarkową na stole, kelner wyciągnął jedną markę z kieszeni, powiedział „chwila”, znikł, pobiegł do bufetu, wrócił, postawił na stoliku obok jasne piwo przed gościem, wyciągnął swój portfel

– Daję panu dwie marki, to jest pięć marek, dziesięć dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt, sto marek, dziękuję bardzo, niech pan jeszcze przeliczy!”

Lampion usiadł w kapeluszu i płaszczu jeszcze raz przy stoliku. Czy to były czary, czy – szczęście? Czy było możliwe, że oszukał tego nieboraka kelnera – jak długo będzie musiał tę stratę rekompensować?

Lub, do diabła, być może konduktor przeliczył się, czy jego oszustwo na konduktorze już zdemaskowano? Lampion postanowił czekać, aż kelner trzy razy przejdzie przed jego stolikiem, pozostawił jeszcze pieniądze, kelner przeszedł obok, czekał, kelner przeszedł drugi raz, czekał, nieufnie rozglądał się za innymi gośćmi, nie żaden nowy, widział to dokładnie, nie wszedł za nim. Kelner przeszedł trzeci raz obok. Lampion schował pieniądze i zamknął za sobą drzwi. To było szczęście, nie, to był los.

Lampion zamówił auto i kazał się zawieźć do kasyna. Postawił jeden talar i przegrał. Postawił pięć marek i wygrał trzydzieści. Postawił dziesięć marek i wygrał sto. Rozbił bank i po pięciu godzinach miał wszystkie kieszenie wypchane wielkimi banknotami.

Lampion szalał tej nocy w najbardziej niebezpiecznych kasynach miasta. Nie obawiał się przegranej i wygrywał coraz więcej. I zapominał o strachu, że ktoś mógł ujrzeć jego niesprawiedliwy początek i nic mu się nie stało, wygrywał i wygrywał, a ludzie oglądali go jak meteor, który spadł z nieba, aby spalić ziemię. Niespokojnie wędrował od klubu do klubu, wypychał cały czas swoje kieszenie banknotami, zmieniał je na większe i wygrywał, wygrywał.

Gdy już nastał dzień, kazał się zawieźć do hotelu, wziął zimną kąpiel i położył się, odświeżony i zmęczony do łóżka. Przemyślał jeszcze raz swoją „karierę” i powiedział sobie:

Tak, trzeba już być uczciwym z samym sobą. Opłaca się to także. Jutro możemy zacząć zarabiać pieniądze. Bez pieniędzy nie można przecież niczego rozpocząć. Utopiami, ideałami i teoriami nie można się najeść. Głód jest wprawdzie najlepszym kucharzem, jednak trzeba także mieć coś do zjedzenia, a im lepiej się zje, tym bardziej dba się o siebie. Im więcej czyni się dla siebie, tym więcej czyni się dla ludzkości. Trzeba było być uczciwym wobec siebie i pójść własną drogą. Szczęście to los. I z uśmiechem zasnął.

*

Pod hotelem, w którym Lampion mieszkał o tej porze, Manila jechała podziemną kolejką do pracy. Na następnym przystanku wszedł do jej przedziału jakiś pan i uśmiechnął się, kiedy ją zobaczył, tak, jakby mimowolnie oczekiwał, że tu ją spotka.

Pan zdjął kapelusz z głowy i usiadł koło niej. Manila obserwowała go zdumiona.

– Jestem pewien i pochlebia mi, że rozpoznała mnie pani – powiedział – chociaż już minęło dużo czasu, od momentu, w którym się spotkaliśmy, a mimo to zna mnie pani jedynie z nieco dziwnej podróży samochodowej przez polską granicę. Nie uwierzy pani, jak jestem uradowany, że mogę panią znów ujrzeć. Mam jeszcze do spełnienia wobec pani słowo, które pani dałem i jestem zadowolony, że mogę to zrobić dzisiaj. Czy chce pani dzisiaj rzeczywiście zjeść kolację z prezydentem policji?

– Zostałem w międzyczasie szefem policji kryminalnej w Monachium i w ten sposób próbuję wśród moich byłych kompanów zapobiec i zrekompensować wszystkie przestępstwa, które wyrządziłem ludzkości. Zresztą widziałem panią, kiedyś w Poznaniu, ale unikałem zobaczenia mnie przez panią, ponieważ jeszcze wtedy było niebezpiecznie rozmawiać ze mną i ponieważ, otwarcie to wyznam, była pani jedynym człowiekiem, którego się wstydziłem. Szła pani wtedy z niskim, młodym mężczyzną, którego potem obserwowałem w Monachium

– To on żyje!?

– Naturalnie, ludzie tego pokroju żyją zawsze. Dlaczego pani pyta?

– Ja – on – to wspomnienie nie jest dla mnie przyjemne.

– Był to zupełnie nieszkodliwy, niski żydowski chłopak. Najpierw uważałem go nawet za niebezpiecznego; miał takie fanatyczne oczy i biegał stale do wszystkich możliwych stowarzyszeń i na zebrania radykałów. Często słyszałem także, jak przemawiał, ale dla mnie przemawiał w sposób zbyt biegły i był czytany. Sądzę, że jest zupełnie nieszkodliwy. Niech mnie pan nie uważa, proszę, za antysemitę, jeśli pani powiem, że brzydzą się tymi przedstawicielami Hebrajczyków. Gdy są młodzi i nie mają nich lepszego do roboty, są rewolucjonistami. Nie opuszczają żadnego zebrania, traktują je nawet jako tako poważnie i mają też,

powiedzmy sobie, ideały. Skoro tylko potem jednak muszą i mogą zarabiać pieniądze czynią to z podobnym entuzjazmem, i okazuje się, że tak mocno niegdyś zwalczany kapitalizm nie był niczym innym jak pieniędzmi innych. Tych rewolucyjnych ideałów, które są zjawiskiem z okresu dojrzewania, nie cenię za bardzo. Tym samym jednak w żadnej mierze nie wykluczam, że właśnie wśród Żydów istnieją prawdziwi i ideowi rewolucjoniści. Ale oni pozostają takimi wiecznie, w cywilnych zawodach są naukowcami, filozofami, artystami, a ja uważam ich za tak znaczących i nieodzownych dla nas, że nie chciałbym jeszcze w mniejszym stopniu niż naszych własnych znakomitości, aby ich brakowało. Ale w tym miejscu wciągam panią w moje myśli, które być może i mam nadzieję interesują panią znacznie mniej niż to, z jakiego powodu już pani tutaj wszędzie szukam. Niech pani nie będzie na mnie zła, jeśli panią do tego stopnia zaskoczę, ale jest dla mnie rzeczą niemożliwą, abym zapraszał panią na sentymentalne spotkania i przedmowy – czy chce pani zostać moją żoną?

Po małej przerwie, Manila powiedziała powoli i cicho:

– Pana osoba nadzwyczajnie mi pasuje, jednak poproszę pana o małą zwłokę, zanim panu odpowiem.